

[Dmurszewski Lwów 1807]
O K O P Y

NA

P R A D Z E

KOMEDYO - OPERA

O R Y G I N A L N A

W 1. AKCIE

Antoni & Amadeusz Węgrzynski

NA

TEATRZE NARODOWYM WARSZAWSKIM

PIERWSZY RAZ WYSTAWIONA

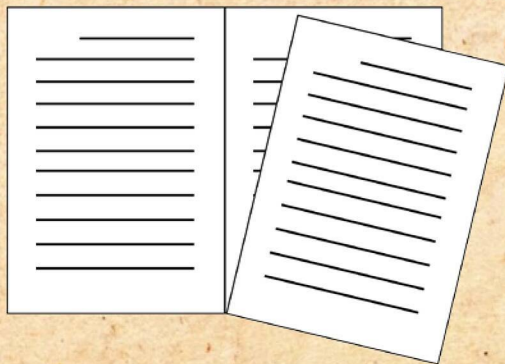
DNIA 14. CZERWCA 1807.

St. H.

W POZNANIU,

DRUKIEM DEKIERA Y KOMPANII

1807



W woluminie kolejno współprawne sygnatury:

Odręczny spis treści

266291 I

266292 I

266293 I

266294 I

BIBLIOTEKA UNIW. W POZNANIU

266294

66291

74

- 19.
1. Opera Potmistrz Gorech
 2. komedia Gaduta nad Gadutami —
 3. Opera Pospolite-ruszenie
 4. komedia-Opera Okopy Pragi

[Dmurszewski Lwów 1807]
O K O P Y

NA

PRADZE

KOMEDYO - OPERA

ORYGINALNA

W 1. AKCIE

Antoni & Smiśdeckich Węgrzyn

NA

TEATRZE NARODOWYM WARSZAWSKIM

PIERWSZY RAZ WYSTAWIONA

DZIA 14. CZERWCA 1807.

St. 4.

W POZNANIU,
DRUKIEM DRKIERA Y KOMPANIL

1807

266 2947
Y 9 O K O

O S O B Y:

Zbroynicki Polak, Po-
ręcznik u Indzynie-
row Francuzkich,

JPan Dmuszewski;

Rubaszyński, podupa-
dły Szlachcie,

JPan Żółkowski.

Zofia, } Jego Corki,
Teressa, }

*JPanna Bogusławska,
JPanna Pięknowska.*

Cnotliwski, Obywatel
Praski,

JPan Kudlicz.

Grzela, Parobek Cno-
tliwskiego,

JPan Krzesiński.

Masiak, szynkuiący
przy okopach,

JPan Wyrwalski.

Mieszkańcy Warszawy oboiej płci i rozmaitych
stanów.

Indzynierowie Francuzcy.

Woyskowi Polscy.

Scena na Pradze.



W szczęśliwéj chwili odradzającéj się Ojczyzny, każdy Polak z bezprzykładną gorliwością wszystko poświęca dla JEY ratunku, dla Dobra powszechnego. Wielki nasz WYBAWCA rozkazał usypać szanice przedmostowe na Pradze, tysiące rąk porwało natychmiast Rydło, i w tak krótkim czasie Wola Bohatyrza uskutecznioną została; lecz iakież to Ręce zaięte były tą chwalebną Pracą? Oto Mieszkańcy Warszawy mając na czele swego *Gorliwego Prezydenta*, bez różnicy stanów połączyli się z Wieśniakami, Damy pierwszego rzędu obok Żon i Córek Rzemieślników, Xieża obok Wyznawców Praw Moyżesza, Panowie obok służących!! Miłość Ojczyzny każdemu podała Rydło, i tylko jedna Familia Polska wznosiła Wał mający zasłonić Stolicę przeciw napadóm Barbarzyńców.

Ten poważny i rozrzewniający widok był mi powodem do wystawienia podobnego na scenie Narodowéj; łaskawe względy szanownéj Publiczności z iakiemi przyięła to dziełko (napisane

na prędcę) przy pierwszém Reprezentacyi ośmiele-
liło mię wydać Go przez druk na widok publi-
czny, abym przez to mógł JEY złożyć hołd
naysczulszemu wdzięczności. —

Raczą także JPanowie Artyści Teatru Narodo-
wego przyjąć moje podziękowanie za ohotne
przyłożenie się do dobrego przyjęcia tego Dzieł-
ka — Poczciwy *Rubaszyński*, dobry *Cnotliwski*
i prostoszczery *Grzela* wystawili z całą mocą Jch
talentu, Charakter Polaków istotnie przywiąza-
nych do swoiwej Ziemi. *Masiek* umiał Publi-
czność ubawić, słowem: starali się godnie na-
śladować zapach Narodowy na okopach Teatral-
nych, iakim byli przeięci kopacze okopów
prawdziwych. —

L. A. DMUSZEWSKI.

OKOPY NA PRADZE.

Teatr wyobraża widok części okopów z przodu niedokończonych, na wierzchu widać działa, i Szyldwacha od Artylleryi Polskiej stojącego przy swojej budzie — Na przodzie Sceny, mały Dworek Cnotliwskiego ogrodzony na wpół - rozebrany parkanem, i otoczonym kilku Drzewami, między którymi znajduje się ławka do siedzenia; w głębi Warszawa — Wschód Słońca.

SCENA I.

Za podniesieniem zasłony słysząc Bęben, jest to pobudka Żołnierska. Cnotliwki wychodzi z swego domu, a za nim Grzela.

CNOTLIWSKI, GRZELA.

CNOTLIWSKI.

Otoż przecie pobudka. Powrociłem późno do domu, a jednak przez resztę nocy

prawiem oka nie zamknął, dręcząc się nie-
 zmiernie, że mego gościa godnie przyjął
 nie jestem w stanie — Więc powiadasz, że
 to jest Oficer Francuzki?

GRZELA.

Tak tak Mości Panie, Oficer Francuzki,

CNOTLIWSKI.

I coż ci mówił?

GRZELA.

A któżby go zrozumiał, choćby co i ga-
 dał — ale tylko położywszy na stole Palet
 usiadł spokojnie i zaraz się zdrzymał; ja tes
 widząc, że musi być bardzo utrudzonym,
 posłałem Pańskie łosko śliczniuchnie, posze-
 dłem se do alkierza, a on tes niewiele my-
 śląc rozgościł się i zasnął.

CNOTLIWSKI.

I coż ja pocznę niemogąc się z nim ro-
 zmówić. — Ale nim wstanie, trzeba mu
 przygotować posiłek, biegayno moy chłopcze
 po kawę, a staray się iak możesz mu usłu-

giwać. — Pamiętay na to; że oni są nasi Wybawcy, że ich trudy iakie ponoszą, są dla nas podjęte. Czémże okażemy im wdzięczność naszą, oto braterskim przywiązaniem, i czynieniem dla nich wszystkiego, tak iak dla nas samych — Czy rozumiesz mnie?

GRZELA.

Rozumiem Mości Panie, rozumiem — Juścić to wielka prawda — Ja pamiętam osmy rok temu iakem był w Rokitnie na Odpuście, moy Boże! każdy ma nieprzyjaciół; znalazło się kilku takich co chcieli mi kurtę skroić: otos Jonek Krakowiak uczciwy chłopak obronił mnie i potłukł ogniście zuchwałcow. O mości Panie! ia teras Jonka tak kocham, tak sanuję, że i wyrazić tego nie umiem, bo on mnie ratował z Przyjaźni od Guza: biorąc z tego miarę, iakże my nie powinni kochać tych, co nas obronili od Derusow Niemieckich, i życie swe łożą, aby do resty zgnieść tych odscepińcow Moskiewskich, co nam tyle gorącego sadła zalali za kołnierż, i wsystkiej biedy nasey byli przyczyną.

CNOTLIWSKI.

Rozsądnie mówisz moy Grzelo! — No, biegayże teraz po kawę ale o Boże! (na stronie do siebie) niemam i szeląga. (pomysławszy trochę) — Ha! ta złota ślubna obrączka iedyne bogactwo co mi pozostało — Słuchayno Grzela!

GRZELA.

Coż tam Mości Panie?

CNOTLIWSKI.

Naści tę obrączkę — Uważay dobrze, że to iest złoto.

GRZELA.

Rozumiem moy Jegomość — Mam zapewne to zastawić? — no, no, Masiek pewno da co na to — mam tedy przynieść?...

CNOTLIWSKI.

Tym czasem kawy, a o reszcie pomyślemy.

GRZELA.

Ale potym musi mi Jegomość pozwolić kopać Batorye; aż zazdrość czleka bierze,

kiedy widzi, że tyle Pań i Panow co się nie urodzili do pracy a z taką ochotą machaia łopatami, a iakżemy niepowinni pracować, my, co mamy ręce tylko na to, aby uprawiać Ziemię, a nie uprawiem iey w tym roku **zapewne**, kiedy nie pobliem tych, co nase **chudoby** od wiekow niscyli.

CNOTLIWSKI.

No no . . . będziesz kopał będziesz —

GRZELA.

Oy to mi to . . . Dziś mam taką ochotę, że za dziesięciu zrobię. (odchodzi)

SCENA II.

CNOTLIWSKI. (Sam)

Szczęśliwy Narod! kiedy Jego wszyscy mieszkańcy, każdy w miarę swey zdolności przykłada się do ogólnego dobra — Gdyby ci, którzy stali się sprawcami naszej niedoli, mogli zayrzeć do wszystkich chat spustoszonych, mogli widzieć z bliska nędzę milionow ludzi, słyszeć bolesne ięki, wdow, sierot **z głodniałych** i umierających,

o iakby im stały się obrzydłe, te nabytki skropione krwią i łzami nieszczęśliwych —
 Moy gość zapewne ieszcze spoczywa. (zagałda przez okno do domu) Ale nie, już ubrany, zabiera się do wyjścia — iaka szkoda, że nie będziem się rozumieć. —

S C E N A III.

CNOTLIWSKI I ZBROYNICKI.

Cnotliwski czyni Łazy nieme witaić Zbroynickiego.

ZBROYNICKI.

Coż to ma znaczyć?

CNOTLIWSKI.

A moy Boże co slysze? Pan Dobrodziey umiesz po polsku, czym się tylko nie przesłyszał!

ZBROYNICKI.

Ktoż WPan iesteś?

CNOTLIWSKI.

Ubogi gospodarz tego domu, w którym Pan stanołeś kwaterą.

ZBROYNICKI.

Witam Cię Panie gospodarzu, — Noaleg
miałem wyborny, spałem wysnienicie. —

CNOTLIWSKI.

Lecz... niemogę pojąć...

ZBROYNICKI.

Dziwisz się zapewne, że rozmawiam
z WPanem Oyczystym ięzykiem?

CNOTLIWSKI.

Dwoiaka dla mnie radość, widzieć ten
szanowny mundur naszych Obrońców, i
modz być pewnym, że noszący go rozumi-
mieć będzie wyrazy wdzięczności i uszano-
wania, iakiemi dla niego jesteśmy przeięci.

ZBROYNICKI.

Jestem w służbie Francuskiej; urodzi-
łem się jednak w Polsce, i teraz mogę
już powiedzieć, że umrę Polakiem. —
Wczoray stanolem na Pradzę, gdzie należę
do mających rząd nad pracującymi w ukoń-
czeniu tych pięknych fortyfikacyi.

CNOTLIWSKI.

Mogę się zapytać jak dawno Pan niewi-
dział swojej Ojczyzny?

ZBROYNICKI.

Trzynaście lat,

CNOTLIWSKI.

Trzynaście lat?

ZBROYNICKI.

Byłem wprawdzie oddalony od mojej
Ojczyzny, lecz Ona zawsze była mi przy-
tomną, po rozejściu się woyska naszego
w roku dziewięćdziesiątym czwartym, wiesz
WPan bez wątpienia, że znaczna jego
część w obcej Ziemi umiała utrzymać chwa-
łę Polskiego oręża. Pod nazwiskiem Legio-
now walczyli za Narod, który teraz nad-
gradza ich bezprzykładne poświęcenie się,
kiedy przemocą zniszczoną Polskę stawia
w rząd żyjących Narodów.

CNOTLIWSKI.

O mój Boże. . . . co też niemusieliście
cierpieć?

ZBROYNICKI.

Wszystkie niebezpieczeństwa i trudy iakkich doznawali Francuzi były udziałem Polaków; ale też i wielu zwycięstw pierwszych, stali się współnikami drudzy — Y niedostępne góry Gotarda, i rozwaliny starożytnego Kairu, i obronne mury Mantuy, i wstawione Hohenlinden Pola, i nayniebezpieczniejsze stępy Domingo, i napełnione buntownikami miasta Neapolitańskie, wszystko to widziało nieznanych im dotąd mieszkańców Sarmacyi, wszystko uległo ich męztwu, wszystko dziwiło się ich przywiązaniu do oczyzny — Lecz już podobno robotnicy zaczęli swą pracę — pocztwy gospodarzu! wkrótce się zobaczym. . . cieszę się; że nakoniec u Ziomka mieszkać będę. . . . przez ten czas bowiem prawie tylko domy samych nieprzyjaciół były naszym mieszkaniem.

CNOTLIWSKI.

Moment Panie Dobrodzieiu! małe śniadanie. . . .

ZBROYNICKI.

Nie, niepotrzeba — Uważam, że majątek WPana nieodpowiada chęci z którą

się okazujesz w przyjmowaniu takiego gościa, jakim Ja jestem — Pomówiemy po tym z sobą obszerniej, każda bowiem rzecz w tym kraju jest dla mnie teraz nowością — Procz tego muszę się dokładnie wywiedzieć o pewney okoliczności, która po Ojczyźnie jest mi naydroższą. — Po obiedzie przebiegnę Warszawę — Ach Przyjacielu! iakież wrażenie na moim umyśle sprawia Jey widok!

CNOTLIWSKI.

A iakież musiało być to, kiedyś po trzynastu latach pierwszy krok postawił na ziemi swych Przodków.

ZBROYNICKI.

O Bracie! com uczuł, jest nad wszystkie opisy. Lecz ieżli chcesz mieć tego wrażenia iakikolwiek obraz, posłuchaj mnie proszę.

PIOSNKA.

I.

Już Stawa rozgłosy swemi
Napełniła wszystkie kraie,
Przyszła Mściciel naszey Ziemi

I POLSKA z Grobu powstała —

Na twoje hasło Ojczyzno,
 Rozbiat wieczny z Włochy robię....
 O droga Przodków puścizno!
 Któryż Kray miłszy przy Tobie.

2.
 Tu spostrzegam Orły białe,
 Tam młódz trudy mając za nic,
 Tu nawet Starce zgrybiałe
 Spieszą szukać dawnych granic.
 Przeniknion świętym zapałem
 Najśłodze czując wzruszenie,
 Drogą Ziemię całowałem
 Puściły się łez strumienie.

3.
 Ojczyzno! . . . Ojczyzno miła!
 Witam Cię w drogiéy potrzebie
 Od téy chwili żadna siła
 Nie oderwie mnie od Ciebie.
 Pójdę pod twemi znakami,
 Pomnożę braci nadzieie,
 Lub Ich uyrzę Polakami —
 Lub resztę krwi méy przeleję.
 (Ochodzi.)

SCENA IV.

CNOTLIWSKI. (Sam)

Nie. . . . niepodobna! aby Polska mają-
 ca takich Synów niestała się wkrótce tym
 samym krajem, iakim była na początku
 swojego życia — Straciliśmy wprawdzie
 wszystko, ale została w nas miłość naszej

ziemi, gorliwa chęć sławy, i chwalebny
zapal zemsty. (*odchodzi od swego domu*)

SCENA V.

GRZELA I MOSIEK.

MOSIEK.

Coż mi tedy powiesz. . . . bo niemam
czasu!

GRZELA (*pokazując obrączkę.*)

A widzisz to?

MOSIEK.

Złoto, i jeszcze z tych przedniey-
szych.

GRZELA.

A iak się to uśmiechnął na złoto —

MOSIEK.

Coż chcesz robić z tą obrączką?

GRZELA.

Niby tes to niewiesz. . . . tylko psecies day
co na to według sumnienia.

MOSIEK.

Dać co na to? . . . a dla kogo? —

GRZELA.

Oto widzisz dla mego Pana: ale mój Mošku wiesz jak on podupadł; niema wcale cym się ratować, a dostał dziś na kwaterę Oficera.

MOSIEK.

Jakto? to na przyjęcie Oficera zastawia tę obrączkę?

GRZELA.

Tak tak. . .

MOSIEK.

Wieleżby on potrzebował?

GRZELA.

Choćby dukata. . . co myślis? tyłkos bo ty zarwan katu, mało zawse daies.

MOSIEK. (*dając mu pieniądze*)

Otoż masz.

GRZELA.

Coż u biesa trzy dukaty? naści obrąckę.

MOSIEK.

Bądź zdrow, a kłaniay się twemu gospodarzowi.

GRZELA.

Mošku! cy mię bies opętał., cos to się święci?

MOSIEK.

Słuchay Grzelo! wy myślicie, że my żydzi nie znamy tego cośmy winni téy ziemi, na ktorey urodziłyśmy się, i z ktorey żyjemy wszak byliśmy zawsze szczęśliwymi za Polskich czasow, i naywięcéy cierpiem od tych, co waszą własność wydarli.... Prawda; że innemi sposobami chwalim Boga... ale i nasz Bog i wasz, iest iednym naszym powszechnym Oycem a w potrzebie a ieszcze tak uczciwéy, wspieraymy się i kochaymy wszyscy iak bliżni, iak bracia.

Duetto.

MOSIĘK:

Z biednym czy Chłopkiem czy Żydkiem
 Podzielię się każdym dydkiem,
 Z Grenadyerem lub Huzarem
 Dzielę się każdym Talarem,
 Z mężnym iakim Porucznikiem
 Podzielię się Dukacikiem.
 A z Wielmożnym Generałem,
 Workiem całem, workiem całem.

GRZELA.

Weycie, weycie! co za dziwy,
 Key teś, gdy Polak powstaie,
 Nawet i Żyd niepocziwy
 Poćciwym się teraz staie.

O b y d w a.

A więc odtąd w Świętęy zgodzie,
 Gdy żyiem w iednym Narodzie,
 W iakięy bądź iesteśmy wierze,
 Ratuymy Oyczyznę szczerae.
 (MOSIĘK odchodzi.)

S C E N A VI.

GRZELA i CNOTLIWSKI.

CNOTLIWSKI.

Słyszałem waszą rozmowę z pocziwym
 Izraelitą, wzruszenie iakim byłem przeięty

niepozwoiliło nawet oświadczyć mu moię wdzięczności. Ale odnieś mu iego pieniądze. Nasz gość wymowił się od przyięcia ofiarowanego mu przezemnie śniadania — Jest to Oficer pełen grzeczności, a co więksha jest to Polak.

GRZELA.

O bodayże — A iakiś ia Osioł, zem się zaras tego niedomyślił; bo widać było po iego minie, ze to musi być człowiek, który razem ma i męstwo Francuskie i odwagę Polską. — Ale ale oy co się tes to dzieie, cała Warszawa wali się prses most z łopatami, ale to: żeby Jegomość wiedział, iakie różności ludzi, i Xieża i ślicniuchne kieby iabluska Panie, i starzy i dzieci, i rzemieśnicy z czerwonymi chorągwiemi, pszysiągłszy Bogu niemożna się odpatsyc — Powiedz mi tes Jegomość, bo ia na to iestem głupi, cy to w kasdym Narodzie tak wszyscy brataią się i pracuią, kiedy idzie o ratunek swoięj ziemi? —

CNOTLIWSKI.

Ja ci tylko powiem, że ten zapal, który widzisz w Polakach zadziwić powinien wszy-

skie Narody, że w sprawie odzyskania Ojczyzny, wszyscy bez różnicy stanów, ięzli są równie gorliwi, doydą zamierzonego celu, inaczey

GRZELA.

Co? inaczey? . . . niemoże bydz inacy — ia teras seść Kozakow weznę na swoją osobę, kiedy widzę, że Jaśnie Wielmożność obok Grzeli, wieśniaka pracuje dla wspolney obrony. — (Odchodzi)

SCENA VII.

Mnóstwo Mieszkańców Warszawskich przechodzi przez Scenę, na czele Rot Rzemieślniczych Starsi Ich niesą Chorągwie — Kobiety, Starce: Dzieci, Kieźa, Żydzi, zgoła rozmaite stany składają orszak uzbroionych łopatom i wienieczonemi w kwiaty i wstęgi. Muzyka poprzedza wszystkich.

Chor w Marszu.

Idźmy pracować z ochotą
Na obronę naszéj Ziemi
Stańmy się i tą robotą,
Nieprzyjaciółom straszniemi.

Niechay Starce, Żony, Działki,
 Kto się tylko zwie Polakiem,
 Dla wsparcia powszechnéj Matki
 Łączy się z naszym Orszakiem.

*Wszyscy uduią się na drugą stronę okopów,
 zostaią na Scenie Rubaszyński i Zofia, którzy
 idąc na końcu spostrzegli Cnotliwskiego stojące-
 go przy swoim Dworuku.*

SCENA VIII.

CNOTLIWSKI, RUBASZYŃSKI, ZOFIA.

RUBASZYŃSKI.

Dzień dobry kochany Panie Jędrzeiu,
 dzień dobry.

CNOTLIWSKI.

Jak się mamy Panie Piotrze, przecieże-
 ście raczyli odwiedzić dawnego Przyjaciela!
 Co za cud?

RUBASZYŃSKI.

Pozwolisz złożyć u siebie nasz chudy
 obiadek, przyszlismy bowiem na Pragę na
 cały dzień a po dawnéj znajomości

CNOTLIWSKI.

Godzisz się tak postępować z dobrym Przyjacielem; przecież spodziewam się, że podzielilibyście się łyżką barszczu, który dla mnie zgotują.

RUBASZYNSKI.

Niemamy sobie czego zazdrościć, wiem żeś Panie Bracie z łaski Bożej taki iak ia chudeusz. No? — twoy dworzyna ieszcze stoi na mieyscu?

CNOTLIWSKI.

Maią go rozebrać w tych dniach.

ZOFIA.

Rozebrać? a coż WPanu zostanie Panie Cnotliwski?

RUBASZYNSKI.

Co mu zostanie? Ręce i zdrowie — Przecież moja corko, on iest Polakiem, a do tego z liczby tych, co nic nieżałują dla powszechnego dobra swych Braci. Bóg go nieopuści, a przyidzie może czas, że na

tym mieyscu, gdzie stał iego mały ubogi dworek, postawi dom, w którym nietylko iego dzieci, ale ieszcze i on sam powtarzać będzie: — „Cierpiałem dla moiey ziemi, lecz ona iest znowu szczęśliwą, a moje przeszłe cierpienia są dziś nayprzyjemniejszą rokoszą” — Nie także Panie Jędrzeiu?

CNOTLIWSKI.

Bez wątpienia. Byłoby występkiem myśleć inaczey.

RUBASZYNSKI.

(ściskając Cnotliwskiego)

Toś mi łepski Prażanin. Tak, tak, wszak wiesz w iakim ia byłem stanie. Dzierzawca ieden z naymaiętniejszych nad Pilicą. — Zrabowali Kozunie trzy razy moy dom, zniszczyli wszystko, nic zgoła niezostało, nad mego starego Oyca i ośmiorga dzieci, do tych ośmiorga przybyło ieszcze trzy dziewczyn, i ieden chłopiec.

CNOTLIWSKI.

Jak to znowu?

RUBASZYŃSKI.

Onegday moja Baba powiła mi chłopca. O Panie Jędrzeiu! naywiększe mi ten dodatek do tuzina dzieci sprawił ukontentowanie. Dałem mu imię *Napoleon*, będzie mu pamiętnym rok iego urodzenia, rok ukończenia naszego ucisku, rok w którym Bohatyrow świata przeniosł swoje Zwycięztwa nad Wisłę, i upokorzył dumnych Nieprzyjaciół Polski.

CNOTLIWSKI.

A winszuie z całego serca. — No iakże idą iego interessa?

RUBASZYŃSKI.

Interessa domowe zawsze w iednym stanie.

ZOFIA.

Ach!

RUBASZYŃSKI.

A zawsze wzdychanie. No i coż, że iestem biedny; ieżeli ia niewzdycham, ty powinnaś bydź w naylepszym chumerze.

ZOFIA.

Ja moy Oycze?

RUBASZYNSKI.

A zapewne, wiem co mówię. Panie Jędrzeiu! moja żona ustawicznie chora, ia pozbawiony wszystkich sposobow utrzymania się, w biedzie każdy odstąpił, służby nawet niemogłem dostać dla tego, że mnie Bog obdarzył¹ tuzinemj dzieci. To dobre dziecko nas żywi.

ZOFIA.

Ale moy Oycze. . . .

RUBASZYNSKI.

Tak, tak, (*ściskając ią*) dzień i noc szyje, haſtuje, upina a za to nic sobie niebierze, ale wszystko oddaje rodzicom i familii, i mogę śmiało powiedzieć, że gdyby nie ona,

ZOFIA.

Nie iestże to dług moy Oycze! który ci wypłacam, gdybyś mi nie dał tak piękney edukacyi, gdybyś mię nie kazał uczyć wszy-

skiego, mogłażbym mieć tę roskosz trawić
wszystek czas na zarabianiu dla was? ...

RUBASZYŃSKI.

Rodzice! staraycie się tylko wpaiać w
umysły dzieci waszych prawidła moralności,
i dajcie im nie wykwinną, ale potrzebną
w społeczeństwie edukacyą, a będziecie
z nich mieli prawdziwą pociechę, a nawet
wsparcie bezsilney starości.

CNOTLIWSKI.

Spodziewać się należy, że niebo nadgra-
dzając tak piękne cnoty, obdarzy Pannę Zo-
fią, pocziwym i bogatym mężem.

RUBASZYŃSKI.

Takby bydź powinno. Ale gdzież teraz
słysać, aby bogacz zaślubił ubogą dziewczy-
nę. A prawdę mówią: bo na coż mam
przed przyaciełem rzeczy w bawełnę ob-
wiiąć. Panna Zofia niemoże zapomnieć o
swoim lubaszku, którego prawie ieszczę
w dzieciństwie pokochała. Był to młody
Towarzysz w Brygadzie Madalińskiego, od-
ważny, tak iak iego sławny Jenerał, mia

łem się dobrze, i niezważając, że był chudy pachol, oddałbym mu moją dobrą Zofią, ale rewolucya, i mnie uczyniwszy biedakiem, i moiego zięcia oddaliła tak dalece, że nie wiemy czy żyje, albo już zginął.

ZOFIA.

To przypomnienie. . . .

RUBASZYŃSKI.

To przypomnienie jest ci bolesne. . . .
Więc o czém inném zaczęmy rozmawiać — No Panie Jędrzeiu, przyszedłem z moim starym Oycem i moimi dziećmi kopać. Pokażmy nieprzyjaciółom, że nic niezaniedbujęm dla wykonania tego wszystkiego, co żądał po nas *Wielki nasz Wybawca*, który już tylekroć powiedział, iż nierownie uczyniliśmy więcej, niż sam chciał, a nawet niż się spodziewał — Byłem już wczoray na okopach — Co za widok! — Poważny stan Duchowny, daie tak piękny przykład; ale co naydziwniejsza delikatne Panie i Panny białemi łapinami tak gorliwie pracują ażem się rozbeczał. Gotowalnie zapewne prożnu-

ią; ale za to lazarety mają obfitość szarpia. Doświadczy zapewne ulgi w przykrych boleściach okryty ranami Obrońca Ojczyzny, kiedy mu powiedzą, że piękne i dobre Polki przykładają się tak dzielnie do jego uzdrowienia — Na tamtą stronę przeszli wszyscy ochotnicy, poydźmy więc do nich moja corko.

ZOFIA.

Moment tu zostanę moy Oycze. Mam mały interes do Pana Cnotliwskiego, natychmiast do was przybędę.

RUBASZYŃSKI.

No! to dobrze. Do zobaczenia Panie Jędrzeiu!... Zosiu! przestań być ustawicznie ponurą — Ja dziś iestem w osobliwym sosie, i kiedy trzymam tę łopatę w ręku, tak mi się zdaie; iakbym cały moy dawny odzyskał majątek. Do zobaczenia. (odchodzi.)

SCENA IX.

CNOTLIWSKI I ZOFIA.

CNOTLIWSKI.

Szczęśliwy humor!

ZOFIA.

Każdy ma taki, czyie sumnienie wolne
 icst od wyrzutow. Chlubię się; że takim
 iest zawsze moy Oyciec. Dręczony tylu do-
 legliwościami, nigdy nieprzestał byđz sta-
 łym. Gdy ciosy największych nieszczęść,
 gwałtownie spadały na Jego głowę, zwykł
 mawiać: „Przeminie to wszystko, przemi-
 nie. Zachowaymy tylko pocziwość, a Bog
 nas nieopuści” — Ale teraz moy Panie Cno-
 tliwski gwałtem chce poyść do woyska, mło-
 dzieńczym zapałem przeięty, gdy zobaczy
 Polskiego żołnierza, nieposiada się z ukon-
 tentowania, zazdrości każdemu kogo widzi
 w mundurze, a gdy czyta w gazetach o
 walecznych czynach naszego nowego wo-
 yska, unosi się tak dalece: że niepomiń-
 na małych synow, ktorych się trudni edu-
 kacyą, na swoje lata i stargane siły, chce
 zostać nawet prostym żołnierzem.

CNOTLIWSKI.

Co słyseż? — Lecz czemuż nie starał się
 o funkcyą cywilną?

ZOFIA.

Po weyściu woysk Francuzkich do Warszawy, odiechał za Poznań do umierającego brata moiey Matki, w nadziei; iż ten bezdzietny kuzyn zostawi nam swoy majątek. Stało się przeciwnie; znaleźli się nieznani bliżsi krewni, a tak mimo zabiegów z strony naszej, odziedziczyli wszystko. Moy biedny Oyciec strawiwszy próżno kilka miesięcy, powrócił z niczem. A co dla nas nayboleśniejsze, opuścił czas w którym można się było starać o iaki urząd odpowiadający jego talentom.

CNOTLIWSKI.

Takto, kiedy nieszczęście uweźmie się na kogo, to go dręczy ustawnie.

S C E N A X.

Dawni, Teressa i kilka Panien.

TERESSA.

Ślicznie siostro! — Ty prożnuiesz, a my patrz iakośmy się spocili!

ZOFIA.

A Oyciec?

TERESSA.

Przyczepił się do rydla iak piliawka do ciała, aż mi go żal — Dzień dobry Panie Cnotliwski.

CNOTLIWSKI.

Jak mi Panna Teresa wyrosła? a gości się też to dobrego przyjaciela tak rzadko odwiedzać? — Zapewnebyście o mnie zapomnieli, gdyby nie okopy....

TERESSA.

Przebacz nam to WPan. Właśnie teraz oddaną zostałam do służby. A kto służy, wolność traci. Procz tego, gdy mnie siostra wyuczyła tego co sama umie — "nie od ciebie (rzekła do mnie) na wywdzięczenie się za moją pracę nie żądam, iak tyko abys iedną część każdego dnia, obracała na zarabianie własnymi rękami dla twoich biednych a tak dobrych rodziców, i małego rodzeństwa" — Ja też muszę ią naśladować, i moją młodszą siostrę uczyć tego wszystkiego, com się nauczyła od starszey; abym małej Teklusi mogła toż samo powiedzieć, co mi zaleciła poczciwa Zosia.

CNOTLIWSKI.

O dobre dzieci!, iakiegoż niewarcicie
losu!

S C E N A XI.

Dawni, Zbroynicki z Indzynierami Francuzkiemi, i za nim mnostwo ochotników z łopatami, indzynierowie przeciągają sznur, i ustawiają kopaczów.

ZBROYNICKI.

Tu! tu! moi Panowie! Prawdziwie
wasza gorliwość iest bezprzykładna — Nie-
przyjaciel nie będzie śmiał przystąpić do wa-
rowni, do których zdziałania przykładają się
rączki tak piękne. (oddzielając iedną część
ochotników) dla tey części oddzielim pracę na
innym miejscu. (odchodzi z Indzynierami i
częścio ochotników)

S C E N A XII.

*Dawni procz Zbroynickiego i za nim ode-
szłych.*

TERESSA.

Acha! widzisz siostró, że tu będą ko-
pać, daleyże niedaymy się uprzedzić. (bie-
ży z swoiemi towarzyszkami włąb i współ-
nie wszyscy pracują)

ZOFIA.

A W Pan Mości Panie Cnotliwski?

CNOTLIWSKI.

Przyłączę się i ja do was moi pracownicy. Muszę tylko cokolwiek zayrzeć do domu. (*wchodzi do domu*)

ZOFIA.

Do zobaczenia więc. (*mięsza się z innemi kopaczami*)

SCENA XIII.

Dawni procz Cnotliwskiego.

Chor kopiących.

Pracujemy Bracia z ochotą
Na obronę naszéj Ziemi,
Stańmy się i tą robotą
Nieprzyaciołóm straszniemi.

Niechay Starce, Żony, Działki,
Kto się tylko zwie Polakiem,
Dla wsparcia powszechéj Matki
Łączy się z naszym orszakiem.

SCENA XIV.

Dawni i Zbroynicki.

ZBROYNICKI.

Mnie się zdaie, że ieżeli tak dłużej wszyscy gorliwie pracować będą, to będziem w stanie wkrotce wystawić mur taki, iaki

dzieli Chiny od Tartaryi. (Zofia, która do-
tąd kopała, przestaje na głos Zbroynickiego,
wpatruje się w niego, wydaje krzyk przeraźli-
wy, i upada na rękę otaczających ją kobiet.)

SCENA XV.

Dawni i Gnotliwski.

GNOTLIWSKI.

(Wypada na krzyk z swojego domu.)

Coż się to stało? — Przebog! bieży ku
Zofii, Teressa i wiele kobiet usiłują ocucić
omdlałą.)

ZBROYNICKI.

Jakiż przypadek. . . Ja mam spiritus.
(dobywając z kieszeni flaszczyki, zbliża się ku
Zofii, cofa się wstecz wołając) O Nieba!
Zofia!

ZOFIA.

(Przychodzi z wolna do siebie, spostrzega
Zbroynickiego, i rzuca się w jego ramiona.

ZBROYNICKI.

Zofio!

ZOFIA.

Józef! . . . (uściskanie kochanków.)

CNOTLIWSKI.

(biorąc Teresę na stronę.)

Powiedzże mi, WPanna co to ma znaczyć?

TERESSA.

Po wymienieniu tego słowa Jozef, domyślam się, że ten człowiek musi to być Zbroynicki, którego moja siostra choć nieprzytomnego i prawie zginionego tak bardzo kocha. Ale jeszcze niemogę wierzyć, bo to jest zdaie mi się Oficer Francuzki.

CNOTLIWSKI.

Tak jest, ale urodzony Polak.

TERESSA.

Co słyszę? ach kiedy tak, to on jest; och iakżem kontenta, dopieroż to moja Siostra będzie szczęśliwa.

ZBROYNICKI.

Tyżeś to Zofio?

ZOFIA.

Jezefie tyż to iesteś?

TERESSA.

Oni jeszcze gotowi niewierzyć, że są sami sobą.

ZBROYNICKI.

A twoiż dobrzy Rodzice?

ZOFIA.

Okrutny Człowieku! przez lat trzynaście żadney o sobie nie dać wiadomości!

ZBROYNICKI.

Z każdego miejsca pisałem do was . . . i powinienem bardziéy wam wymawiać zapomnienie tego, który był waszym nayszczer-szym Przyjacielem, udręczony nakoniec tym smutnym milczeniem, nieśmiałem więcéy żadnéy czynić odezwy.

ZOFIA.

Z każdego miejsca mówisz, w wieluż byłeś?

ZBROYNICKI.

Poł świata zwiedzili moi Towarzysze . . . byłem wszędzie z niemi, a ty ze mną, tak szanowna Zofio! zemną mówię: bo nigdy nie przestałaś panować w moim sercu. Wcielony do woysk Francuzkich znajdowałem się w Neapolu. Kiedy sam Krol tamteyszy donosił nam o szczęśliwéy Nadziei dzwignienia się naszego Narodu. — O iakaż niewysłowiona radość dla tych, którzy téy chwili tak długo oczekiwali; kupując każdą godzinę krwią i niebezpieczeństwami — dla mnie ieszsze nierownie większa, bom miał powro-

cię do Ojczyzny, i w niej znaleźć drugie
również wielkie dobro lubą kochankę. —
Przejeżdżałem przez miejsce, gdzie Cię
zostawił przed trzynastu laty, lecz nietylko
was nie znalazłem, ale nawet nie mogłem się
dopytać, gdziebyście znajdować się mogli.

ZOFIA.

Niestety! wiele miejsc było mieszkaniem
moich biednych Rodziców.

ZBROYNICKI.

Co mówisz biednych?

ZOFIA.

Ledwo mogących siebie i dwanaścioro
wyżywić dzieci —

ZBROYNICKI.

O Boże!

ZOFIA.

Przeraża cię to zapewne?

ZBROYNICKI.

Jak piorun!

ZOFIA.

Już to nie jest owa Zofia, Córka małego
Ojca, który ci ją oddawał chętnie za
dozgonną Przyjaciółkę!

ZBROYNICKI.

Zofio! iestżeś tą samą dawną Zofią?

ZOFIA.

Serce mam też same!

ZBROYNICKI.

I miłość?

ZOFIA.

I miłość!

ZBROYNICKI.

Dla mnie?

ZOFIA.

Dla ciebie zawsze — Chociaż bez żadney nadziei, abym cię kiedyś widzieć, a tym bardziéy posiadać mogła.

ZBROYNICKI.

Boże! iakże nadgrodziłeś moje wielkie cierpienia — Gdzież są twoi Rodzice, przyrzekli mi ciebie — kochasz mię stale — dość na tym — iestem wprawdzie tylko Porucznikiem, dochody moje są ograniczone, ale ty ieśli szczerze kochasz przestaniesz na

ZOFIA.

Nie idzie tu o mnie samą — Pierwszą powinność służyć Rodzicom.

ZBROYNICKI.

Nierozumiem cię!

CNOTLIWSKI.

Ona tylko swoją pracą żywi całe rodzeństwo!

ZBROYNICKI. (osłupiały.)

Nieba!

TERESSA. (do siebie.)

Muszę to wszystko donieść Ojcu!

(wybiega.)

SCENA XVII.

Dawni procz Teressy.

ZOFIA.

Niewątpię, że mnie kochasz dotychczas, bo kto był stałym w pośród tylu przygod, kto w nayodleglejszych ustroniach świata stale utrzymywał honor swego Narodu, ten i kochać stale potrafi — Niewątpię; że żądasz nieodstręczony moim ubostwem i mniéy dbały na twoje dzisiejsze dochody mnie zaślubić, ale zostawszy twoją małżonką, musiałabym ci towarzyszyć wszędzie, opuszczając tych, dla których poświęciłam wszystkie dni moje. . . .

Okrutna walka między miłością wiernęj kochanki i powinnością wdzięcznej córki; poszłabym chętnie wszędzie za tobą, dzieliłabym z radością twoje trudy, walczyłabym nawet obok ciebie, bo czegoż prawdziwa miłość dokazać nie zdoła, nmrzeć wspólnie z tobą, ieśli by srogi wyrok, śmierć ci na placu bitwy przeznaczył, miałabym za naywiększe szczęście, ale ty sam ieśli sprawiedliwym iesteś, niezniesiesz abym to uczyniła wtenczas, kiedy ieszcze los. . . .

ZBROYNICKI.

Ach niekończ. . . . i natożem cię znalazł, abyś mi tak bolesną zadawała ranę.

ZOFIA.

Lecz o Boże ty się oddalisz może wkrótce, może jutro . . . może dziś ieszcze widzę cię znowu, znayduię cię niezmiennym . . . Pierwsza bitwa . . . o Nieba ty może ranny . . . ktoż te szanowne troskliwiéy opatrzy blizny gdybym ja przy tobie tak Jozefie nieodstąpię cię Przebog co mówię . . . moja chora Matka moy naylepszy Oyciec . . . biedni mali Bracia . . . nie, stety. . .

S C E N A XVIII.

Dawni, Rubaszyński i Teressa.

RUBASZYŃSKI.

(niosąc małą baryłkę jeszcze w głębi woła)

Jakto on tu jest? ... Dziewczyno to nieprawda, to być niemoże!

ZBROYNICKI.

Oycze! *(rzuca się na jego łono)*

RUBASZYŃSKI.

A dalipan wszak to on.... Ey Mospanie.... oż to mi Polak, kiedy z zagranicy nie przywiozł pachniący pomady, miniaturki, okularów, ale szlify na ramieniu, pałasz przy boku, i jeszcze znak na piersiach, który tylko otrzymują istotnie zasłużeni. Słow mi niestaie, abym Panie Jozefie, (pozwól bowiem tak cię zawsze nazywać) abym wyraził to czucie, jakim teraz jestem przejęty. — Powiedziała mi w krotkości moja młodsza Córka o waszym spotkaniu się — Wiesz już o moim dzisiejszym położeniu — Czyńcie iak wam serce i rozum doradzać będą — na mnie niezważajcie wcale — jeśli wy będziecie szczęśliwemi, to moje szczęście będzie w waszym. —

ZOFIA. (do siebie)

Boże! wspieraj moją odwagę! —

RUBASZYŃSKI.

O tysiąc rzeczy mam cię kochany Panie Józefie pytać, lecz to zostawmy napotym, bo i tak nic widzę niesłuchasz, ale masz wlepione oczy w twoją kochankę . . . no no . . . wiem jak taka chwila jest dla was drogą, a zatym słuchajno Panie Jędrzeiu zostawmy ich w tym stanie; mam ci coś pokazać.

CNOTLIWSKI.

Coż ta baryłka znaczy?

RUBASZYŃSKI.

Kopiąc teraz w świeżym mieyscu namacałem łopatą głęboko w piasku tę baryłkę — Co Waśc myślisz. . . .

CNOTLIWSKI.

Coś napisano na dnie. . .

RUBASZYŃSKI. (czyta)

Roku 1794. Day go katu . . . ia mówię, że to stary Tokay . . . ale nie, niesłuchając żadnego zapachu.

CNOTLIWSKI.

Zobaczmy no. . . .

RUBASZYNSKI. (*przewracając baryłkę*)

Nic się nieodzywa . . . ależ kaducznie ciężka.

CNOTLIWSKI.

Ktoredyż tu można w nią zayrzeć?

RUBASZYNSKI.

Nic niema na około . . . chyba denko odbić.

CNOTLIWSKI.

Otoż noż. (*obydwa nożem odłupują dno baryłki*)

RUBASZYNSKI.

Aha! . . . Otworzono (*zagląda w baryłkę, stawia zaprędko na ziemi, zakrywa denkiem, i cofa się w tył*) Święty Bonifacy! a to co?

TERESSA.

Coż to tam jest? (*przewraca baryłkę, z której wielka liczba dukatów wypada na scenę, powszechne zadziwienie i pauza.*)

RUBASZYNSKI.

A wszak to dukaty!

ZOFIA.

Jak to? . . .

CNOTLIWSKI.

Czéhoż się dziwić! . . . spełniło się na nim, co sam zawsze przepowiadał — Poczciwego

BOG nigdy nieopuszcza — Znalazł tę baryłkę kopiąc pod bateriami. Bierz więc i...

RUBASZYNSKI.

Nie... nie.... Znalazłem to śliczne złoto prawda, ale w całości odniosę rządowi, niech jego wola stanowi przeznaczenie tych pieniędzy....

CNOTLIWSKI.

A iak tobie przysądzi; czego spodziewać należy....

RUBASZYNSKI.

Wtenczas naypierwszą część przeznaczy się nieszczęśliwym mieszkańcom Pragi, ucierpieli oni naywięcey — To złoto bez wątpienia bydz musi iednego z dawnych tuteyszych mieszkańców, i iak z napisu roku domysleć się można, w owym okropnym dniu rzezi, ukrytym zostało — Właściciel poległ zapewne pod razem zboieckiego barbarzyńcow żelaza — Część druga: na woyskowe lazarety. Świętą iest powinnością mieć staranie nad zdrowiem tych, ktorzy za nas życie odważają — Niezapomni się o innych biedakach prawdziwie potrzebujących wsparcia.

CNOTLIWSKI.

Bardzo słusznie, a reszta....

RUBASZYŃSKI.

Zaraz, zaraz No moja Zosiu . . . !
 broniłaś mi zostać żołnierzem, bo musiałem
 uczyć twoich małych braci; wahałaś się zaślubić
 tego, któregoś kochała bardziej niż życie,
 boś była iedynym wsparciem całego domu. —
 Jużcię przecię zostawią mi może z tego złota
 tyle, iż wystarczy i na wyżywienie i edukacyą
 twojej familii. (*Ściska Zosię oddając ją
 Zbroynickiemu*) Pocziwe dziecię — Niebo
 nadgrodziło twoje rzadkie cnoty, widzisz już
 szczęśliwą twoją rodzinę, otrzymujesz rękę
 wiernego kochanka, i jeszcze tę masz pociechę,
 że wtenczas spełniły się wszelkie twoje
 nadzieie, kiedy Ojczyzna staie się szczęśliwą.
 — A ja swego dokazać muszę, i dziś jeszcze
 zaciągnę się do gwardyi Polsko-Cesarskiej —
 Będę mieć tę roskosz znaydować się zawsze
 przy boku tego, któremuśmy winni więcej niż
 życie, bo żyć w niewoli pod obcym iarzmem,
 iest to tylko udręczającym konaniem. —

CNOTLIWSKI.

Ale znówu spostrzegam nowe tłumy śpieszących
 pomnożyć tę chwalebną pracę. —
 O bracia nie traćmy czasu, połączmy się
 z niemi.

SCENA OSTATNIA.

Dawni i wielu nowo przybyłych, wszyscy zostają na przodku sceny.

VAUDEVILLE.

CNOTLIWSKI.

Coż ten natłok Ludzi znaczy
 Ubogich i Panów,
 Mnóstwo gorliwych kopaczy
 Bez różnicy stanów —
 Chodcież teraz naiezniki,
 Z krwi chciwym orężem,
 Poydziem i z temi motyki
 Umrzem lub zwyciężem.

GRZELA.

Chłopi tylko każdy pyszna,
 Stwożeni do pracy,
 Ale kięć wzywa Oyczyzna
 Wsycysma Polacy.
 Wszyscy z iednéj żyjem Ziemi,
 Polska nasza matka,
 Więc Ją siłami wspólnemi
 Brońma do ostatka.

MOSTEK.

Narzeka świat uprzedzony
 Licha korzyść z Żyda,
 Lecz dla powszechnéj obrony,
 I on się też przyda.
 Wszak nam czyni korzyść znaczną
 Polaków powstanie,
 I iak Żydzi kopać zaczną
 Dziesięć Fortec stanie.

TERESSA.

Gdy na powszechną obronę
 Wznoszą góry z Ziemi,
 Wzorem Pań tych pobudzone,
 Spieszmy Siostró z niemi
 A ieżli Ojczyznę lubą
 Zastonią te wały,
 Dzieciom naszym rzekniem z chlubą
 Tu Polki kopaty.

RUBASZYŃSKI.

Dobrze mówisz chodźcież za tą,
 O dzieci kochane
 Jeszcze dziś machnę łopatą,
 Nim mundur dostanę.
 Niepłacząc, gdy w polu chwały
 Legnę w mężnych rzędzie,
 Wszak NAPOLEON wspaniały
 Oycem waszym będzie.

ZBROJNICKI.

Zebrano pod sławy znakiem,
 O Dusze niezlomne
 Czuję pychę, kiedy wspomnę,
 Że iestem Polakiem.
 Kogoż lud ten niepokona
 W walce z Naiezdami
 I Boga mamy za nami
 I NAPOLEONA.

Chor.

Pocziwość, wierność, miłość i zgoda
 Niech między nami zawsze panuje,
 Wszak każdy Polak pewno to czuie
 Jak mu iest miłą dawna swoboda.

K o n i e c .

